



GMITAJE

MIAS TEUZKO

SKYLA ARNDT



Tytuł oryginału

*Together We Rot*

Copyright © 2023 by Skyla Arndt

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo Nowe Strony

Oświęcim 2024

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

**Redakcja:**

Magdalena Magiera

**Korekta:**

Sandra Pętecka

Joanna Boguszewska

Karolina Piekarska

**Redakcja techniczna:**

Paulina Romanek

**Projekt okładki:**

Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8362-203-3

SKYLA ARNDT

**GNIJĄCE  
MIASTECZKO**

TŁUMACZENIE  
HANA MATEJEK-KHOURI

OŚWIĘCIM 2024

*Za metamorfozy*

*I tak przeklął Bóg ogród wraz z człowiekiem*



## Rozdział pierwszy

### Wil

– Nie możemy zaliczyć tego jako dowód, jeśli ich nagabywałaś, Wil.

Szeryf Vrees rozpętał burzę, gdy tylko wparowałam przez drzwi, ale teraz, na dokładkę, wydał z siebie kolejne jęknięcie. To taki nasz cotygodniowy rytuał, jego i mój. Spędziłam ostatni rok, pochylając się nad sprawą zaginięcia mojej matki i tym samym wbijając mu się w żebra jak cierni, a on spędził ostatni rok, myśląc o swojej wcześniejszej emeryturze.

– Nie można rozwiązywać przestępstw poprzez popełnianie kolejnych – powiedział stanowczym tonem.

Każdego dnia przychodzę na komisariat policji w Pine Point z nowymi poszlakami. On je odrzuca, a potem kłócimy się przez

piętnaście minut. Dzisiaj dobrnęliśmy do drugiej minuty naszego harmonogramowego przekomarzania się.

Uderzyłam dłonią o blat. Mężczyzna miał szczęście, że dzieliła nas barierka. Były dni, że o niczym nie marzyłam tak bardzo, jak o tym, aby przeskoczyć przez nią i zacząć go dusić.

– A więc przyznajesz, że to co się stało, było przestępstwem?

Stojący za nim współpracownicy nawet nie zwrócili na nas uwagi. Zdażyli się przyzwyczaić do naszych kłótni. A poza tym byli zbyt zajęci niewykonywaniem swojej pracy: rozmowami, zwijaniem papierów i wrzucaniem ich do koszy, siorbaniem kawy i podjadaniem pączków. To wszystko było aż nazbyt stereotypowe. I wystarczające, aby doprowadzić mnie na sam skraj wytrzymałości.

Jeden z nich majstrował przy radiu i puszczał przez trzeszczące głośniki ciche, świąteczne piosenki. Nie obchodziło mnie, ile jeszcze będę musiała słuchać Michaela Bublé, ani to, jak mocno padał śnieg za oknem. Nie byłam w świątecznym nastroju. Moja cierpliwość miała swoje granice i właśnie się do nich zbliżyliśmy. Mój dzisiejszy nastrój najlepiej opisywało określenie: za pięć sekund dojdzie do fizycznej napaści na funkcjonariusza.

– Powtarzam po raz ostatni, panno Greene, nie ma w tej sprawie śladu osób trzecich. – Zaplótł palce tak jak zawsze, gdy był absolutnie wściekły. Ledwo powstrzymywał się, aby nie wybuchnąć.

W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy nie byłam dla niego zbyt łaskawa. Oczy miał wyblakłe, siwizna przedzierała się przez jego czarne włosy, a na skórze rysowały się zbiorowiska przedwczesnych zmarszczek.

– Przyjrzelśmy się sprawie twojej matki. Byliśmy niestrudzeni. Robiliśmy to bez końca. Wszystko jednak wskazuje na to, że twoja matka z własnej woli wyjechała z miasta.

Ściana za jego plecami stała się wyblakłą, bladożółtą plamą. Rozmazała się wraz z resztą gabinetu. I wraz z nim. Milcząco,



tępy i niczym niewyróżniający się szeryf Vrees był tak nijaki, jak to tylko było możliwe. Jak wystygnięta kolacja przed telewizorem albo jak bezmyślne sobotnie popołudnie – takie, podczas którego oczy są zaszkłone, a w tle cicho lecą lokalne wiadomości.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy mężczyzna okazał więcej emocji niż kiedykolwiek w całym swoim życiu. Powinien mi za to podziękować.

Zastukałam palcem w zdjęcie. Mój paznokieć był obgryziony. To, jak udało mi się zdobyć dowód, nie powinno mieć znaczenia.

– Ja też się temu przyglądałam, Mark. Byłam niestrudzona. I robiłam to bez końca. Spójrz, co udało mi się znaleźć.

Zdjęcie, które zrobiłam, przedstawiało lubianego miejscowego kaznodzieję – z pozoru równie nietykalnego jak sam Bóg – znajdującego się w lesie za swoim domem. Obraz był zacieiniony, a mrok sprawiał, że scena wydawała się nieuchwytna jak mgła. Pomimo to księżyc świecił wystarczająco jasno, aby zakreślić jego sylwetkę i rozwiać wątpliwości. Zaciskał ręce na gardle zajaca. Gdy pastor Clarke przełamał kark zwierzęcia, krew splamiła lód szkarłatem.

Wzrok szeryfa Vreesa zatrzymał się na zdjęciu przez marną sekundę.

– Nie rozumiem.

Prychnęłam.

– Ten człowiek złożył zwierzę w ofierze. Nie wydaje ci się to dziwne?

– W ofierze? – fuknął. – Z taką logiką wszyscy na Półwyspie Górnym należą do sekty.

Aby udowodnić swój punkt widzenia, że rytualne składanie ofiar ze zwierząt jest popularną rozrywką na Półwyspie Górnym Michigan, Vrees wskazał głową na zdjęcia stojące na jego biurku. Obok portretu jego ciężarnej żony widniała myśliwska fotografia. Na niej Vrees z zaczerwienionym nosem stał przed rżędem jeleni i uśmiechał się dumnie obok zwierzęcej padliny.

– Jeleń królewski – mruknął pod nosem.

– Co za bestia – zawołał oficer Mathers ze swojego stanowiska. Na ekranie nie miał nawet otwartego żadnego dokumentu. Ten drań grał partyjkę pasjansa. I do tego przegrywał.

Na początku moja cierpliwość była nadszarpnięta, ale właśnie jej limit się skończył.

– Obojętne – mruknęłam. – To tylko jedna z rzeczy, które mam ci do pokazania. Znowu pisałam na swoim forum i...

– Geny Nancy Drew<sup>1</sup> są silne w twojej rodzinie, co? – Vrees miał z tego niezły ubaw.

Zacisnęłam dłonie w pięści i oparłam je na biodrach.

– Moja matka nie jest zwykłym detektywem amatorem, dobra? Jest dziennikarką. Była dziennikarką. Zdobyła w tej dziedzinie wykształcenie, zanim się tu przeprowadziła i została pedagogiem szkolnym. Z resztą nie muszę ci nic z tego tłumaczyć. To nie jest twój interes.

Grymas Vreesa zniknął pod jego wąsami.

– Nie obchodzi mnie co ty lub TrueCrimeLover420 macie do powiedzenia, Wil. Przerabialiśmy to już milion razy. Ta sprawa jest zamknięta.

– Owszem, tak było. I jeszcze ani razu mnie tak naprawdę nie wysłuchałeś. – Chciałam wyrwać mu moje zdjęcie, ale Vrees był szybszy. Odsunął rękę tak, abym nie mogła dosięgnąć fotografii i rozerwał moją pracę z bezduszną skutecznością.

– Co, do cholery?

Jego skóra marszczyła się z frustracji.

– Współczuję ci, uwierz mi, dzieciaku, naprawdę. Ale sprawa twojej mamy jest niemalże zamknięta. Wyjechała z miasta. Ani ty, ani twój tata na to nie zasłużyliście, ale takie jest życie. – Popijał kawę, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie, a nie o jego własnej nieudolności i mojej zaginionej matce. – Najwyższy czas, żebyś

---

<sup>1</sup> Nancy Drew – jest bohaterką cyklu powieści kryminalnych dla młodzieży, pisanych pod pseudonimem Carolyn Keene. Historie te opowiadają o dziewczynie, która rozwiązuje zagadki kryminalne (przyp. tłum.).

przestała bawić się w Sherlocka i zostawiła rodzinę Clarke'ów w spokoju. To dobrzy ludzie. Dobrze służą temu miastu.

Raczej nie określiłabym ich jako dobrych ludzi. Nie minęły dwa dni od zaginięcia mojej mamy, gdy pani Clarke zapukała do naszych drzwi.

– Tak mi przykro w związku z tym, co się stało z twoją matką, Wilhelmino – zaczął tak przesłodzonym głosem, że aż zazgrzytało mi w uszach. Jej oczy były jak plamy rozlanego atramentu, a uśmiech prezentował rząd olśniewająco białych zębów. – Przekaż moje pozdrowienia swojemu ojcu. Cała nasza parafia modli się o jej szybkie odnalezienie.

A kiedy wyciągnęła w moją stronę rękę, aby chwycić mnie za dłoń, mogłabym przysiąc, że bransoletka mojej matki zadzwięczała na jej nadgarstku.

Vrees chwycił się za nasadę nosa.

– Za to, jak ich nękaasz, to oni powinni złożyć skargę na ciebie. A zamiast tego pomagają twojemu tacie uwolnić się od tego motelu, który jest dziurą finansową bez dna.

„Motel, który jest dziurą finansową bez dna” oznaczał nasz rodzinny dom, czyli jedyną część mojej matki, jaka mi pozostała. A „pomoc mojemu tacie” oznaczała odebranie nam tego miejsca, zrównanie go z ziemią i wybudowanie tam parkingu. Wszystko po to, aby wypędzić nas z miasta. Vrees nie był jedyną osobą, która miała mnie już dość. Nigdy nie zapomnę tego, jak pan Clarke zesztyniał, gdy krzyknęłam do niego, stojąc po drugiej stronie ulicy. Nie zapomnę tego ognia piekielnego, który rozpałał jego oczy, gdy odwrócił się w moją stronę.

– Uważaj na siebie, panno Greene.

Możesz szturchać niedźwiedzia tak długo, aż bestia wystawi kły, ale ja nie miałam zamiaru dać się komukolwiek zastraszyć. Też potrafiłam pokazać zęby.

Uderzyłam pięścią w biurko na tyle mocno, że wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę.

– Ja również powtarzałam ci to milion razy. Nigdy się nie poddam w sprawie mojej matki. W przeciwieństwie do ciebie, mnie naprawdę obchodzi jej los.

– Idź do domu, Wil – rozkazał.

Prychnęłam i schowałam komórkę głęboko do kieszeni, zanim Vrees zdążył również i ją skonfiskować. Czując, jak tuzin oczu wbija się w moją skórę, szturmem przedarłam się w stronę zamarznętego, okrutnego krajobrazu zewnętrznego świata.

– I jeszcze jedno, Greene! – zawołał za mną. Jego głos był bardziej zgrzytliwy niż zwykle. – Potraktuj to jako ostrzeżenie. Następnym razem, gdy zobaczę, że dręczysz kogokolwiek z miasta, czeka cię piekło.

Zamarłam odwrócona do niego plecami. Zaciskałam pięści na klamce tak mocno, aż myślałam, że za moment ją wyrwę. Śnieg za oknem sprawiał, że wiecznie zielony las rysował się w jeszcze bardziej intensywnych odcieniach. Podobnie jak oczy, które jaśnieją po płaczu. Nie pomimo bólu, ale dzięki niemu. Przełknęłam łzy.

– Nie martw się. Od teraz dam sobie radę sama.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Oczywiście mój rower stojący na parkingu był przykryty warstwą śniegu. Odkopanie go zajęło mi kilka minut, potem usiadłam na śliskim siedzeniu i ruszyłam, choć początek nie był łatwy.

O tej porze drogi nie były zanadto zdradliwe, ale jazda w taką pogodę nie należała do przyjemnych.

Burza wybieliła błękit nieba. Pine Point zawsze wyglądało ponuro, ale brak koloru tylko pogarszał sytuację. Był to upiorny odcień szarości, złowieszczy i zaraźliwy. Wsiąkał w moją skórę, potęgując tylko poczucie, że ten dzień był okropny, aż w końcu wydawało mi się, że cały świat stanął na głowie. Jakbym już nigdy nie miała być szczęśliwa.

*Weź się w garść.*

Zaczęłam pedałować szybciej. Powinnam wrócić do domu – rozgrzać się przed nocną obserwacją domu Clarków – ale dom był ostatnim miejscem, w którym chciałam teraz być. Więc zamiast tego skierowałam się do jednej z niewielu osób w tym mieście, na których mi zależało.

Ronnie Clearwater była w połowie swojej zmiany w Earl's Diner. Faktem jest, że kiedyś mnie stamtąd zwolnili, ale Earl jeszcze nie zabronił mi przychodzić, więc regularnie tam zagłędałam.

W oddali zauważyłam neonową czerwień szyldu, która była jak latarnia morska – ciastka Earla przebijały się przez gęstą biel. Musiałam przyznać, że choć reszta jego jedzenia była w najlepszym razie na poziomie szkolnej stołówki, to jego popisowe paszteciki były zaskakująco dobre.

Restauracja była mała i mocno przestarzała, ale miała dach i ogrzewanie, więc mi to odpowiadało.

Poza tym w oknach wisiało chyba milion małych sosnowych odświeżaczy powietrza, a to był dodatkowy atut. Prawdziwe sosny rosnące na zewnątrz nie pachniały aż tak intensywnie.

Nawet w grudniu las Morguewood<sup>2</sup> cuchnął wręcz niewyobrażalnie. Smród rozkładu unosił się z leśnej gleby i łaskotał mnie w nos. Ten nieprzyjemny, nieustający zapach, utrzymywał się tutaj przez cały rok. Pierwszy mróz nieznacznie go tłumił, ale wciąż miałam wrażenie, że żółć podchodziła mi do gardła.

Leśne stworzenia giną na potęgę. Jelenie sztywnieją od mrozu, a niedźwiedzie z oczami utkwionymi w ponurej i szarej przestrzeni nieba leżą pośród wygłodniałych much i pełzających larw. Zima utrzymuje ich ciała w świeżości, a ich zwłoki rozmrażają się dopiero na wiosnę, by następnie rozłożyć się podczas deszczowego lata.

Gdy dotarłam do restauracji, oderwałam wzrok od drzew.

Otworzyłam drzwi i pchnęłam swój rower na krawężnik. Nie pofatygowałam się, aby zapiąć go na kłódkę. To zardzewiały sta-

---

<sup>2</sup> Morguewood (ang.) – połączenie słów „kostnica” i „las” (przyp. tłum.).

roć, którego nikt przy zdrowych zmysłach by nie ukradł. Jeśli ktoś potrzebowałby go aż tak bardzo, musiałby znajdować się w gorszej sytuacji niż ja.

Warto napomknąć, że restauracja Earla nie należała do tych uroczych, małomiasteczkowych knajpek w stylu lat pięćdziesiątych.

Podłoga nie była wyłożona modnymi, czarno-białymi kafelkami. Nie było tu lakierowanych, czerwonych krzeseł ani nastolatków popijających milkshake'i przy ladzie, podczas gdy ktoś inny wybierałby piosenkę Elvisa w szafie grającej.

Zamiast tego obecna tu boazeria była brzydka jak siedem grzechów głównych. Do tego przykładał się jeszcze fakt, że na ścianach wisiała przytłaczająca liczba jelenich głów i wypchniętych ryb, które gapiły się na jedzących klientów. W radiu grała lokalna stacja – jakaś dźwięczna piosenka country o żonie, która chciała popełnić zbrodnię na swoim mężu.

Na brudnej wycieraczce otrzepałam się ze śniegu i stanęłam w chorobliwie białym blasku świetlówek. Tkwiły w nich pokolenia zdechłych much, a gdy lampy trzaskały, dźwięk przypominał trzepot skrzydeł.

Zazwyczaj w tym miejscu nastąpiłby moment, w którym usiadłabym w jednym z najbrzydszych boksów, a następnie wytarłabym ze stołu okruchy po ostatnim z klientów. Ronnie wręczyłaby mi resztkę tłustych frytek i zajęłybyśmy się plotkowaniem aż do końca jej zmiany.

Ale nie dziś. Dziś była trzymana jako zakładniczka przy czymś stoliku. Biorąc pod uwagę, jak drżały jej pięści i jak zaciskała zęby, wywnioskowałam, że wolałaby raczej przebiec milę na zimnie, niż rozmawiać z tą klientką.

Wiedziałam, kto tam siedzi, zanim jeszcze dokładniej się przyjrzałam. To był były chłopak Ronnie, Lucas Vandenhede.

W całym okręgu szkolnym Pine Point było mniej niż stu uczniów, ale Lucas Vandenhede obrał sobie za cel, aby stać się

najbardziej irytującym z nich. Był chodzącą, gładzącą migreną. Już po pięciu minutach w jego obecności potrzebowałam exceededrinu.

Wszystko w nim było tak sztuczne; aż nazbyt poukładane. Jego proste białe zęby były efektem lat pracy ortodonta, a każde słowo, które wychodziło z jego ust, było niczym kalka tych tandetnych filmów o licealistach z lat osiemdziesiątych.

– Chcę tylko porozmawiać, Vee.

– Nie mamy o czym – ucięła Ronnie, a ja byłam z niej dumna. Wzięła sobie do serca moje codzienne wykłady o tym, jak być żoną.

– Proszę...

– Dobra, dobra. Chcesz porozmawiać? – powtórzyła Ronnie, a jej głos zmienił się w ostry, warkliwy szept. Choć nie był aż tak cichy, skoro usłyszałam ją z drugiego końca restauracji. – W porządku, porozmawiajmy. Zacznijmy od tego, jak przez cały semestr flirtowałaś z Leah Westbrooke. To dlatego się tutaj zjawiłaś? Bo znalazła sobie chłopaka? Tylko marnujesz czas, przychodząc tu z podkulonym ogonem.

Wiedziałam, że aż się w niej gotowało, bo owinęła kosmyk włosów wokół palca. Niektórzy robią to, aby flirtować, ale dla Ronnie była to alternatywa wrywania sobie włosów z głowy. Skrzywiłam się, widząc ich kolor. Jej wredna matka szybko zakryła błękit. W niecałe czterdzieści osiem godzin zdążyła już zawieźć córkę do salonu, który był oddalony o godzinę drogi stąd, aby to naprawili. Teraz włosy Ronnie nie były już dziewiczym blondem, a jego złotą imitacją.

Policzki Lucasa zapłonęły szkarłatem.

– Nie flirtowałam z nią. Vee, ona jest moją partnerką na zajęciach laboratoryjnych. Co miałem zrobić? Nie zamienić z nią ani słowa na wypadek, gdybyś przestała mnie nienawidzić i chciała się pogodzić?

Przyjaciół Lucasa, Kevin Garcia, siedział pomiędzy nimi jak struchlały sędzia sportowy. Wyglądał na tak absolutnie niepasującego do całej tej sytuacji, że niemal było to zabawne. Był jak Waldo ukryty pośrodku pola bitwy, który uśmiecha się nieznacznie pośród poległych żołnierzy. Z tym szkopułem, że Kevin nie był typem chłopaka, który nosi koszulki w czerwono-białe paski. Był chodzącą reklamą tego, co dziwne i niezbadane.

Miał na sobie świąteczny sweter z kosmicznym motywem. Z przodu było nabazgrane: *CHCĘ WIERZYĆ (W ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA)*, a dalej widniał obrazek statku UFO ciągniętego przez renifery. Kevin był wysoki jak olbrzym z bajki *Jaś i magiczna fasola*, miał czarne, krótko przycięte włosy i karnację w kolorze ciepłego brązu. Był jednym z tych facetów, do których dziewczyny ustawiałyby się w kolejce, gdyby nie miał aż takiej obsesji na punkcie Wielkiej Stopy.

Kevin zauważył mnie, gdy się im przyglądałam, i posłał mi zakłopotany półuśmiech.

Nie byliśmy przyjaciółmi, ale wydawało mi się, że był to jeden z tych momentów, w których pomyślał: „Gratulacje! Jesteś jedyną osobą, która dostrzega mnie w tej sytuacji!”.

Nie odwzajemniłam jego spojrzenia.

Kevin przestał się uśmiechać i zajął się oglądaniem butelki z syropem, która stała na stole.

Ronnie warknęła na Lucasa:

– Ostatnim razem gdy sprawdzałam, w programie zajęć laboratoryjnych nie było całowania się z partnerką... i... na litość boską, tyle razy powtarzałam ci, żebyś przestał mnie tak nazywać.

Wcześniejsza pewność siebie Lucasa teraz całkowicie zniknęła. Gwałtownie wciągnął powietrze i ciasno skrzyżował ramiona na piersiach, strzegąc swojego serca.

– Nie byliśmy już wtedy razem... Ronnie. To był jeden głupi pocałunek i zupełnie nic dla mnie nie znaczył. A my nigdy... my nie... To nie było tak. To był błąd, który skończył się tak szyb-



ko, jak się zaczął. Proszę, możemy o tym tutaj nie rozmawiać? – Machnął ręką, jakby „tutaj” miało mówić samo za siebie.

Ronnie była jednak nieugięta.

– Jeśli nie zamierzasz nic zamawiać – warknęła – to wyjdź stąd.

Lucas pochylił głowę.

– W takim razie wezmę sprite’a, a Kevin weźmie... – Spojrzał na Kevina, który aż wychodził ze skóry. Odsunął od siebie dozownik syropu, jakby nie bawił się nim kilka sekund wcześniej.

– Dr peppera – odpowiedział Kevin. – Poproszę.

Ronnie prychnęła.

– Zaraz podam wam dwie letnie wody.

Odwrociła się, a Lucas wyciągnął rękę, aby chwycić ją za nadgarstek. Kevin znowu posłał mi błagalne spojrzenie i ostrożnym gestem spróbował powstrzymać ramię Lucasa.

Bez skutku.

– Veronica, wiesz, że mi na niej nie zależy, prawda? Zawsze liczyłaś się tylko ty. Nie przyszedłem tutaj, żeby się z tobą kłócić. Myślałem... że może... Cóż... mój tata jest teraz w Iron Mountain, więc urządzam u siebie małe spotkanie. Miałem nadzieję, że może przyjdiesz i porozmawiamy o nas i...

Tego już było za wiele.

W ciągu kilku sekund moja wściekłość popchnęła mnie w ich stronę. Westchnienie ulgi Kevina nie uszło mojej uwadze. Ale wiedziałam, że nie ulży mu po tym, co miało za chwilę nadejść.

– Nie słyszałeś, co powiedziała? – warknęłam, uderzając Lucasa w ramię, aby nie dotykał Ronnie. – Ona nie chce z tobą rozmawiać.

– Skąd, do cholery, w ogóle się tutaj wzięłaś? – Chłopak zaczął rozmasowywać swoją skroń, jakbym to ja przyprawiała go o ból głowy. – To nie twoja sprawa, Wil. Odczep się.

– Oczywiście, że to moja sprawa, skoro chodzi o moją najlepszą przyjaciółkę. – Byłam pewna, że w tym momencie wyglą-

dałam jak jeden z psów, którym piana toczy się z pyska i które łypią na przechodniów zza mizernego płotu. Mój uśmiech był niczym innym jak zaciśniętymi, obnażonymi kłami, moje spojrzenie było nieruchome, a na twarzy malował się wyraz: „No dalej; spróbuj tylko”. Wskazałam palcem na drzwi, pokazując mu drogę na parking. – Wyjdź stąd. Natychmiast.

Gdyby rok temu ktoś powiedział mi, że będę stała w tym miejscu i broniła Veroniki Clearwater, pomyślałabym, że ten ktoś jest niespełna rozumu. Ale to było PZM – Przed Zniknięciem Mamy. W czasach, gdy obie żyłyśmy w oddzielnych światach, a mama była spoiwem, które łączyło cały wszechświat. W czasach, gdy Ronnie nie była społecznym pariasem – tak jak ja – gdy była naprawdę popularna, kucyk kołysał się za jej głową, a powieki lśniły delikatnym, złotym blaskiem. Gdy każdą sekundę spędzała wtulona w ramię Lucasa, chichocząc, gdy składał pocałunki na jej policzku.

Ale teraz żadna z nas nie była tą samą osobą, którą byłyśmy w pierwszej klasie. Los sprawił, że Ronnie i ja w tym samym czasie opadłyśmy na trybuny – wyczerpane, samotne i z zaczerwienionymi oczami. Rozmawiałyśmy o wszystkim i o niczym. O kartonie mleka, który wylała na pustą głowę swojego byłego chłopaka. O grobowym milczeniu Elwooda po jego ucieczce. O tej nocy, gdy zaginęła moja matka i o tej, gdy ojciec Ronnie połknął o jedną tabletkę za dużo. Odszedł, a obok niego pozostała niewielka notatka: *Nie możemy tego dłużej ciągnąć*. Ronnie wyplakiwała się w moje ramię, a ja w jej i to jedno popołudnie zmieniło wszystko.

Otarłam się o nią jak szczególnie trujący gatunek bluszczu, a ona powstrzymała mnie przed wpadnięciem w spiralę, z której nie było już odwrotu. I gdyby ktokolwiek mnie teraz o to zapytał, powiedziałabym, że zrobię dla niej wszystko.

Policzki Lucasa płonęły czerwienią, a jego zęby zazgrzytały jak krzesiwo rozpalające ogień. Przeskakiwał spojrzeniem to na mnie, to na nią.

– Wiesz, że ona też cię zostawi, Vee – wysyczał. – Tak samo jak opuściła Elwooda. Ona nie potrafi nikomu zaufać.

Elwood Clarke. To imię rozpałiło we mnie płomień, budząc do życia coś, co nigdy tak naprawdę nie umarło. Zazwyczaj siadał obok mnie, jego oczy dostrzegały najmniejsze szczegóły i nieustannie opowiadał o swojej kolekcji motyli. Było całkiem sensowne, że spędzaliśmy razem czas. Ja byłam wyszczekaną dziewczyną, a on płochliwym chłopakiem, który mnie potrzebował. Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, aż pewnego dnia wszystko się skończyło. Zanim całe moje życie zostało zrujnowane przez jego rodzinę.

Teraz, gdy miałam przed oczami jego obraz, czułam się tak, jakbym połykała rozpaloną zapałkę. Im dłużej rozmyślałam o tym, czym byliśmy, tym większa dziura wypalała się w moim wnętrzu.

Lucas oparł ręce na biodrach, a potem wstał i wtedy już wiedziałam, że miał zamiar powiedzieć coś szczególnie wrednego. Nie zawiódł mnie.

– Elwood był po tym wszystkim w totalnej rozsypce. Wiesz o tym, prawda? Bez mrugnięcia okiem zrujnowałaś przyjaźń na całe życie. Więc co, Wil, znudziło ci się rujnowanie własnych relacji po tym, jak odeszła twoja mama? Teraz musisz mieszać też w życiu innych ludzi?

Był ode mnie wyższy, ale nie przeszkadzało mi to, aby się do niego zbliżyć.

– Chcesz coś jeszcze dodać? Gadasz brednie, Lucas. Nie masz nawet pojęcia, przez co przeszłam.

Nie spędził całych dni, leżąc na kanapie obok mamy, podczas gdy jej zwinne palce zaplatały skomplikowane warkocze. Nie towarzyszył jej w ogródku każdego lata, trzymając wiklinowy

kosz, posłusznie zbierając świeże zioła i słuchając, jak opowiadała o każdym z nich. Nie zawodził i nie wymiotował z płaczu, gdy dni zamieniały się w tygodnie, a jego matka nigdy przenigdy nie wróciła do domu.

Zacisnęłam zęby, nie ruszając się z miejsca. No dalej, Lucas, kontynuuj tę swoją gadaninę. Zobaczymy, co się stanie.

– Wil!

Zyskaliśmy dodatkową publiczność, ale nie przeszkadzało mi to. Miejscowi odsunęli się od swoich oblepionych tłuszczem talerzy i przesunęli wzrok z telewizora wiszącego na ścianie na dwóch licealistów, którzy stali przy ostatnim boksie na lewo. WWE<sup>3</sup> nic na mnie nie ma.

Lucas wziął przez nos jeden długi, drżący wdech, a potem wypuścił powietrze ustami.

– To okropne, że twoja mama zostawiła cię i wyjechała z miasta. Ale bez przesady. Używasz tego jako darmowej przepustki, żeby zachowywać się po chamsku. Musisz znać swoje miejsce. Chodzisz po tym świecie, jakby wszystko należało do ciebie.

Gniew spiął moje żebra w ciasno związane supły. Nie miałam zamiaru mieć dla niego litości.

– Więc zrób to. Pokaż mi, gdzie jest moje miejsce.

Mój świat zaczął ociekać czerwienią.

---

<sup>3</sup> WWE (ang.) – World Wrestling Entertainment – amerykańska firma, która zajmuje się organizowaniem występów i walk związanych z wrestlingiem (przyp. tłum.).

## Rozdział drugi

### Elwood

Spędziłem ostatnie sześćdziesiąt minut, modląc się o atak serca.

Albo o udar. Albo o tętniaka, który nagle pęknie. Nie byłem w tej kwestii wybredny. Bóg musiał jedynie dokonać mojego żywota, zanim mój ojciec zaciągnie mnie do ambony. Myśl o staniu przed kimkolwiek – bez względu na to, czy byli to parafianie, uczniowie, czy moje odbicie w lustrze – w niektóre dni przyprawiała mnie o palpitacje serca.

Ale fakt był jeden: Bóg nie słuchał.

– Elwood, możesz tutaj podejść? – zapytał ojciec. Na jego twarzy pojawiła się rzadko spotykana linia uśmiechu, gdy zachęcił mnie gestem, abym stanął przed nieruchomym tłumem. Stara-

łem się sobie na nowo przypomnieć, jak oddychać, ale moje płuca wyrzuciły instrukcję obsługi i traćłem dech.

– Nie każ mu się powtarzać – warknęła mama. Jej szept był jednak zbyt cichy, aby ktokolwiek inny mógł go usłyszeć. Wiedziałem, że lepiej jej się nie sprzeciwiać. Jej groźby potrafiły pozostawiać po sobie blizny. Przypominała mi *papilio troilus*<sup>1</sup>, którego skrzydła były czarne jak kwitnące sińce i ostre jak odłamki lustra, które ktoś roztrzaskał w przyływie gniewu.

Zacisnąłem dłonie na ławce, aby się uspokoić. Nie dość, że zapomniałem, jak oddychać, to zapomniałem jeszcze, jak się poruszać. Powinno mi to przychodzić z łatwością, ale teraz miałem wrażenie, że było to jak latanie z połamanymi skrzydłami.

Wiedziałem, że nic nie ukoi jej gniewu, jeśli nie wyjdę na środek.

– Idź.

Tak więc zrobiłem.

Kościół bacznie nasłuchiwał każdego mojego kroku, próbując wsadzić mnie w tę samą formę, co mój ojciec, ale zebrani bez wątpienia stracili wszelką nadzieję, gdy zobaczyli nas stojących obok siebie – mojego ojca, który od siedemnastu lat był „Prawą Ręką Boga” i mnie, chłopaka, który nie wiedział, co zrobić z własnymi rękami. Powinienem trzymać je za plecami? A może będzie lepiej, jeśli zaplotę je przed sobą? Zdecydowanie i na sto procent nie powinienem trzymać ich w kieszeniach.

– Już wkrótce nadejdzie wielki dzień dla Elwooda – powiedział mój ojciec z dumą, która, jak rozpaczliwie miałem nadzieję, była szczerą.

Oparłem się pokusie uśmiechu. W tym momencie powinienem wyglądać poważnie, uroczyście i z godnością. Mój ojciec nie był motylem. Był modliszką. Wiedziałem, że jeśli nie będę przy nim ostrożny, mogę stracić głowę.

<sup>1</sup> *Papilio troilus* (z łac.) – gatunek motyla zamieszkujący Amerykę Północną (przyp. tłum.).